

a z nim skakanie łodzi po kamieniach, i znowu nowe obrazy — nowa prześliczna panorama, — o to barjery biało-czerwone to posterunek K. O. P.-u legitymowanie, a za nim jakieś pięć minut drogi rzeką, ginie to piękno Pienin — tu już spotykamy letników, to zapowiedź końca podróży wodnej. Szczawnica. — Na powierzchni rzeki roją się barwne kostjomy letniczek i opalone ciała letników. Płynąc wśród nich spotykamy się z miłymi uśmiechami. Wysiadamy z łodek i na czele z sekretarzem i skarbnikiem. S.M.P. w Sromowcach, idziemy do miasta. Jesteśmy w zdrojowisku i wszędzie jest nas pełno.

Sama Szczawnica po cudownej jeździe przez Pieniny była czemś dusznem, cuchnącem.

Przewodniczący nagłą do pójścia do domu — droga czeka nas ciężka i daleka. Już mamy ruszać, w tem licząc osoby brakuje trzech, dalej szukać, łązić po Szczawnicy, są zguby. Idziemy! Za Szczawnicą pniemy się pod górę, drogą znaną wytrawnym turystom, trudno, za długo zbałamuciliśmy w Szczawnicy, więc stracony czas pokrywamy wielkimi wysiłkami i krótszemi drogami. Początkowo idziemy lasem i lasem i stale w górę i w górę.

Naraz droga staje się łagodna, maszerujemy przez łąki góralskie, jak kobierce barwne o tle zielonem i położone słonecznymi promieniami. Znowu ginimy w lesie i znów ogromna polana w kształcie fantastycznym, doskonale widocznym pniemy się het daleko. Schodzimy z góry w kotlinę ciemną, lecz po drodze wydeptanej, aby po pewnym czasie iść do ruin zamku św. Kingi i pustelnika. Droga stroma, lecz łatwa do przebycia, tu są schodki i barjerki, a gdzie indziej i ławeczki.

grzane, zachowało resztkę wiosennej świeżości, to też cały park zdawał się rozwijać i rozkwitać do słońca. Soczysta barwa liści, choć już ściemniona pierwszemi powiewami lata, świeciła jeszcze miejscami jaśniejszym tonem zieleni, po trawnikach lilje, irysy i róże zdawały się w oczach pęcznieć i rozwijać, nabierając ciepłych mocnych tonów, a woń jaśminu, lip i akacyj nasączała powietrze upajającym aromatem. Nad kwiatami złociły się pszczoły, baki i osy macąc swym brzękiem jedynie ciszę wczesnego poranka.

Na bocznym ganku dobrzeleńskiego dworu stał pan Józef N. i przysłaniając oczy ręką, patrzył upornie w stronę wsi, gdzie pomiędzy dwoma rzędami chat biała szeroki trakt do Pniewa.

Widocznie ta niczem nie zakłócona cichość budziła w panu Józefie jakieś tajone obawy, bo w twarzy miał źle ukrywany niepokój i zdenerwowanie.

Nareszcie w ciszę wiejskiego poranka wmieszał się daleki turkot. Patrzący odetchnął i uspokojony widocznie poszedł w kierunku bramy wjazdowej, kędy

Pustelnia — to mały domek z drzewa z werandą wśród skał i na brzegu stromej skały, prawie na brzegu przepaści po lewej stronie, a po prawej dosyć jeszcze wysoko dzwonnica, rozbrzmiewająca trzy razy dziennie na Anioł Pański. Wchodzimy do wnętrza pustelni, — wprost drzwi przy stole przysunięty do okienka, siedzi na pniu młody z brodą przepasany sznurem w habicie brązowym — pustelnik. Wnętrze pustelni: piec, etażerka z książkami, pień, krzesło, półka i dolna część trumny (łóżko w którym śpi pustelnik) przy drzwiach, a na niej wyrzeźbione „memento mori” i wiele innych słów przypominając człowiekowi niczem nieubłaganą śmierć.

To łóżko pustelnika dziwne na nas robi wrażenie, to też czempredziej prosimy o herbatę i opuszczamy pustelnię udając się na werandę dla odpoczynku.

Druga stancjka — to warsztat stolarski, dookoła ścian małe półeczki z krzyżykami i numerami — to Droga Krzyżowa.

Widok z pustelni śliczny.

Idziemy dalej drogą kamienistą, która wiedzie nas na Trzy Korony.

Ostrożnie stąpamy, jeden nieuważny krok, potknięcie się, i upadek: może się skończyć upadkiem w przepaść.

Posuwamy się b. wolno — już pierwszy wyszedł trzymając się poręczy. Jesteśmy — lecz zaledwie parę osób na szczycie — reszta ustala w drodze.

Zawrotny widok w przepaść pozwala nam tylko na chwilę rozkoszować się obrazem widzianym. Dunajec — to tasiemka, jakgdyby umyślnie rzucona między góry, strzelające, bądź nagiemi szczytami, bądź czarnym lasem.

koło figury Matki Boskiej droga zakreślała przed podjazd. Z pomiędzy chat wyłaniał się właśnie długi szereg ładownych wozów, które skrzypiąc ciężko ciągnęły wolno pod dwór.

Przy jednym z nich siedział szpakowaty, krótko ostrzyżony, z twarzą czerstwą i czerwoną, pełną fantazji i sprytu, stary stróż folwarczny, kierujący widocznie całym transportem.

— I cóż, Mikołaju — spytał pan Józef — nie zwróciliście niczyjej uwagi? nie obudzili podejrzeń?

— E, nie, jaśnie paniel! Wszystko poszło jak z płatka. Wyładowaliśmy skrzynie w Pniewie, urzędnicy kolejowi nie wiedzieli co w nich. Myśleli pewniakiem, że coś dla fabryki, albo gorzelni, bo tu wszędzie napisane: „uwaga”, „ostrożnie”, „szkło”, a w mieście i dalej po drodze nie spotkaliśmy nikogo podejrzanego.

(ciąg dalszy nastąpi)